

Miasto Bez Świtu

Kamil Kranc

II. Ulica Kości

Jan szedł przez miasto, które nie miało końca.

Ulice były wąskie, kręte, prowadziły donikąd. Budynki pochylały się nad nim jak żebracy błagający o jałmużnę – tylko że to nie były ręce żebraków, tylko macki, tylko cienie, tylko coś, co nie miało prawa istnieć. Ściany były ciepłe w dotyku. Ciepłe i wilgotne. Jak wewnątrz czyjegoś ciała.

Nie oglądał się za siebie. Bał się, że jeśli to zrobi, zobaczy coś, czego nie zdoła zapomnieć.

Szedł przed siebie, a miasto zdawało się go prowadzić. Ulice zmieniały się, gdy tylko na nie wchodził – nagle pojawiały się nowe zakręty, nowe zaułki, nowe drzwi, które wcześniej nie istniały. Jan wiedział, że to nie jest przypadek. To miejsce było żywe. I bawiło się nim.

Ulic nie dało się zapamiętać. Nie dlatego, że były podobne – wręcz przeciwnie. Każda miała inny kształt, inną szerokość, inną temperaturę. Jedne były zimne jak lód, inne ciepłe jak oddech śpiącego człowieka. Jan próbował liczyć zakręty, ale po trzecim zrozumiał, że miasto nie chce, żeby cokolwiek zostało policzone. Miasto chciało, żeby szedł. I żeby zapomniał, skąd przyszedł.

Wtedy usłyszał płacz.

Cichy, stłumiony, dochodzący z jednego z zaułków po prawej stronie. Płacz dziecka. Albo kogoś, kto brzmiał jak dziecko.

Jan zatrzymał się. Wiedział, że nie powinien. Wiedział, że to może być pułapka. Ale coś w nim – może resztką człowieczeństwa, może głupia nadzieja – kazało mu sprawdzić.

Wszedł w zaułek.

Był długi i ciemny, a im głębiej wchodził, tym bardziej ciemność zdawała się gęstnieć. Płacz stawał się głośniejszy. A potem nagle ucichł.

Jan stanął. Przed nim, na końcu zaułka, stała postać. Mała. Dziecko. Dziewczynka w sukience, która kiedyś musiała być biała, ale teraz była szara od brudu i czegoś jeszcze – czegoś, co wyglądało jak zaschnięta krew.

Dziewczynka odwróciła się.

Jej twarz była... nieobecna. Nie w sensie metaforycznym. Po prostu jej nie było. Tam, gdzie powinny być oczy, usta, nos – była tylko gładka, napięta skóra, jakby ktoś wygładził rysy dłonią. A jednak dziewczynka mówiła. Jej głos dochodził z miejsca, którego nie było.

- Pomóż mi – powiedziała. - Proszę. Nie chcę tu być. Nie chcę być jednym z nich.

Jan cofnął się o krok.

- Kim jesteś?

- Byłam taka jak ty. Kiedyś. Miałam ciało. Miałam imię. Miałam... - Głos się załamał. - Miałam mamę. A potem

coś mnie złapało. Coś, co mieszka w piwnicach tego miasta. I teraz... teraz jestem pusta. Wypełniona tylko tym, co Ono mi dało.

- Ono? Pan Milczenia?

Dziewczynka skinęła głową - a przynajmniej tak to wyglądało, bo nie miała twarzy, którą mogłaby skinąć.

- On czeka na końcu każdej ulicy. On jest tym miastem. On jest wszystkim, co tutaj jest. I On cię znajdzie, Janie. Znajdzie cię, bo nosisz w sobie to samo, co ja nosiłam. Pęknięcie. Ranę. Miejsce, przez które może wejść.

- Jak mam uciec?

- Nie uciekniesz. Możesz tylko iść. I walczyć. I mieć nadzieję, że gdzieś tam, na końcu, jest wyjście. Ale nie ma. Nie dla takich jak my.

Dziewczynka zaczęła się rozpadać. Jej ciało kruszyło się jak popiół, unoszony przez wiatr, którego nie było. Ostatnie słowa, jakie wypowiedziała, zanim zniknęła całkowicie, brzmiały:

- Nie ufaj ciszy. Cisza kłamie.

Jan został sam w zaułku. Przed nim była tylko ściana - ściana, która pulsowała, jakby coś w niej żyło. Przyłożył do niej dłoń. Była ciepła. I wtedy poczuł, jak coś łapie go za rękę.

Szarpnął się, ale uścisk był silny. Ze ściany zaczęły wyrastać palce - długie, chude, z paznokciami jak ostrza. Potem ręce. Potem twarze. Twarze, które nie były twarzami, tylko czymś, co próbowało nimi być. Otwierały usta, ale nie wydawały dźwięku. Tylko cisza. Ta sama cisza,

o której mówiła dziewczynka.

Jan szarpnął się jeszcze raz, mocniej. Udało mu się wyrwać. Pobiegł.

Biegł przez zaułek, przez ulice, przez miasto, które zdawało się śmiać. Śmiać się z niego. Biegł, aż płuca go paliły, aż nogi odmawiały posłuszeństwa, aż upadł na ziemię – ziemię, która była miękka i ciepła, jak ciało.

Minął istoty, które nie próbowały go zaatakować. Siedziały pod ścianami, skulone, nieruchome. Jedna z nich trzymała w dłoniach coś, co kiedyś musiało być fotografią – teraz było tylko szarym, pustym kwadratem. Inna powtarzała cicho jakieś imię, w kółko, bez emocji, jak modlitwę, która dawno straciła sens. Jan chciał się zatrzymać. Chciał zapytać, kim są, skąd przyszły, czy można im pomóc. Ale w ich oczach – tych, które jeszcze miały oczy – nie było nic. Nie rozpacz. Nie ból. Tylko ta straszliwa, doskonała obojętność, która przychodzi po zbyt długim cierpieniu. Jan szedł dalej, bo zrozumiał, że oni już nie czekają na ratunek. Oni czekają tylko na koniec. A koniec nie przychodzi.

Podniósł głowę.

Przed nim stała brama.

Ogromna, żelazna, pokryta symbolami, których nie rozumiał. Ale wiedział, co oznaczały. Wiedział, że za tą bramą jest coś gorszego niż wszystko, co widział do tej pory. Wiedział, że jeśli przez nią przejdzie, nie będzie już odwrotu.

Na bramie były symbole. Jan ich nie znał – a jednak coś w nim drgnęło, gdy je zobaczył. Jakby już je kiedyś widział.

Jakby były w nim od zawsze, tylko czekały, aż je rozpozna. Jeden z nich – okrąg przecięty pionową linią – powtarzał się na ścianach miasta, na skórze Aleksandra, na wewnętrznej stronie jego własnej dłoni. Jan nie pamiętał, żeby go tam miał. Ale nie był pewien. Może był tam od urodzenia. Może całe życie nosił na sobie znak, który mówił: ten należy do nas.

A jednak wstał. I podszedł do bramy.

Bo gdzieś tam, po drugiej stronie, może była nadzieja. Może było wyjście. Może było przebudzenie.

A może po prostu... coś, co warto zobaczyć, zanim umrze.

Brama otworzyła się sama.